

Rozdział Pierwszy

Pierwsze, co usłyszałem, to śpiewy ptaków – o ile na tej planecie występują ptaki. Próbowałem otworzyć oczy.

– No, rzesz kurwa – powiedziałem, rozchylając powieki.

Był środek dnia. Słońce świeciło wysoko na niebie, a ja byłem odwrócony w jego stronę. Po pierwszym szoku przyszło kolejne zaskoczenie – wisiałem do góry nogami. Chyba to ułożenie sprawiło, że nie miałem płynu w płucach, więc mogłem swobodnie oddychać. Musiałem się wydostać z pnia tej rośliny, która mnie „wyhodowała”. Nie miałem z tym większych problemów. Byłem schowany w dużej dziupli, a od świata zewnętrznego oddzielały mnie skrawki kory, która chroniła mnie gdy dojrzewałem. Wystarczyło się odepchnąć. Spadłem na miękką ziemię, porośniętą delikatnymi porostami i mchami. Ich dotyk i konsystencja przypominały plusz. Lekko ugniecione, na moment przybierały formę przedmiotu, który spowodował wgniecenie. Powracały jednak do pierwotnego kształtu po kilku sekundach. Szybko zacząłem rozglądać się dookoła. Rośliny były rozłożyste. Część z nich miała czarne liście i rosła tuż przy ziemi, średnie były zielone, a najwyższe – purpurowe. Na około rozciągał się bajeczny widok dziwnych roślin. Nie widziałem zwierząt, czy innych stworzeń. Niemniej powietrze wypełniały dźwięki, które tworzyły niezwykłą, niepoznaną dotąd melodię. Powietrze było wilgotne, ciężkie, ciepłe. W powietrzu unosił się zapach cynamonu i cytryn.

Już wiedziałem, że coś poszło nie tak – byłem sam, na obcej planecie. Przyglądając się drzewu, które mnie wydało, zauważyłem znany kształt, wewnątrz dziupli, w której dojrzewałem. Było to Nasiono Bojowe, w którym przybyliśmy.

– Co tu się dzieje? – wypowiedziałem, powoli, na głos.

Zwykle gdy dojrzewamy, towarzyszy nam od pięciuset do tysiąca owocników – żołnierzy i innego personelu. Z każdego wychodzi istota oparta na genotyp lokalnego gatunku. Są to Naczynia, w których przebywa nasza świadomość. Wszystko odbywa się, zwykle, pod ziemią. Zanim opuścimy nasze kokony, tworzone są podstawowe struktury i korytarze. Ma to zapewnić nam bezpieczeństwo, gdy będziemy poznawać nasze nowe ciała.

– Nie wierzę... ja pierdolę. – Dziwna pustka wypełniła moje myśli, a dreszcz przeszył ciało, gdy uświadomiłem sobie co się stało.

Podczas desantu Nasiono musiało zostać uszkodzone i przeszło w tryb awaryjny. Gdy tylko dotknęło powierzchni tej planety, niezwłocznie pozyskało materiał genetyczny jednego z pobliskich stworzeń. Wybrało losową Duszę – padło na mnie – i rozpoczęło proces awaryjnego tworzenia obrońcy.

– I co ja mam teraz zrobić? – wypowiedziałem, szybko, w stronę Nasiona, jakby automatycznie.

Próbowałem pozbierać myśli, uspokoić moje nowe ciało. Szybkimi ruchami głowy wypatrywałem niebezpieczeństwa. Niczego nie zauważyłem.

– Spokojnie – powiedziałem do siebie. – Wiesz, co masz robić. – Szybkim ruchem głowy spojrzałem w lewo, chyba usłyszałem jakiś szelest. – To nic, nic tam nie mam – zacząłem iść w kierunku urojonego hałasu. – To tylko duchy moich myśli – mówiłem, pocieszając się. – Stój, zatrzymaj się – powiedziałem do siebie, zamarłem nasłuchując odgłosów. – Jest bezpiecznie, nic tu nie ma, pomyśl, jak było na szkoleniu – serce zaczynało bić coraz wolniej, z każdym uderzeniem akceptowałem moją sytuację.

Usiadłem, pozwalając adrenalinie się wypalić. Oddech zwolnił, mięśnie się rozluźniały, a serce zwalniało. Moje myśli klarowały się i układały w logiczną całość.

Powinienem jak najszybciej aktywować wzrost Nasiona. Najprostszy i najszybszy rozwiązaniem będzie wyjęcie z drzewa, umieszczenie w ziemi i polanie moją krwią. Zawiera ona enzymy, które jednoznacznie wskazują, że jest bezpiecznie i proces standardowego wzrostu powinien zostać wznowiony. Minusem tej procedury jest znaczna utrata krwi.

– Nie – wypowiedziałem, przeganiając pierwszą myśl. Wróciłem do dziupli. – Kto cię tak urządził? – zapytałem łamiącym się głosem. Sprawdzałem czy Nasiono nosi jakieś widoczne ślady uszkodzeń. Ręce mi się trzęsły. – Nie mogę cię tu tak zostawić, bo wszyscy uwięzieni w Tobie umrą... – urwałem w połowie zdania, uświadomiłem sobie, że tłumaczę przedmiotowi czym jest. Nasiono było swoim statkiem kosmiczny, który przewoził naszą świadomość, Duszę. Po wylądowaniu jego zadaniem było wyhodowanie ciała i umieszczenie w nim Duszy.

Walcząc z pokusą ucieczki, schowania się, szukałem kryjówki dla Nasiona. Jednocześnie nie spuszczałem drzewa z oczu. Mimo że nie widziałem żadnych stworzeń w pobliżu, nie chciałem ryzykować utraty tak cennego Ziarna. Miejsce, które znalazłem, znajdowało się zaledwie kilka metrów od drzewa. Była to niewielka formacja skalna, porośnięta czymś w rodzaju bluszczu. Kamienie tworzące kopiec były luźno ułożone, co pozwalało mi swobodnie je przesuwac. Delikatnie odsunąłem kilka z nich, aby dostać się do podłoża. Starąłem się nie uszkodzić roślin oplatających skały – mogły posłużyć jako dodatkowe

maskowanie. Wykopałem niewielki dół, wystarczający, by zmieściło się w nim Nasiono.

Wróciłem do drzewa i zajrzałem do dziupli – odruchowo, odskoczyłem na kilka metrów.

– Ja pierdolę! – wypowiedziałem głośno, próbując powstrzymać wstrzyknięcie kolejnej dawki adrenaliny, do mojego krwioobiegu. – Czym ty jesteś? – sylabizując, zadałem pytanie. Pomarańczowo-biały pająk z ogromnym ogonem wiewiórki siedział wewnątrz dziupli. Cały był pokryty futrem, miał osiem nóg, jak klasyczny pajęczak, oraz jedną parę wielkich czarnych oczu. – Jakimś rodzajem tutejszej wiewiórki? – dopytałem, z wahaniem.

Przez chwilę gapiliśmy się na siebie. W końcu stworzenie odwróciło się i zaczęło dobierać do Pestki.

– Zostaw! Spadaj! – krzyknąłem w odruchu, ale nie zwrócił na mnie uwagi.

Podszedłem bliżej i wyciągnąłem rękę.

– Co...? – zapytałem samego siebie. – Sześć palców? – raczej stwierdziłem, niż zapytałem, wpatrując się w moją, nową łapę. Adrenalina, niepewność i natłok myśli w głowie, ograniczyły moje postrzeganie rzeczywistości. Nie zwróciłem wcześniej uwagi na ten szczegół.

Ocknąłem się z marazmu i uderzyłem w pień drzewa. Zwierzę zareagowało gwałtownie, odwróciło się i zasyczało. Patrzyliśmy na siebie. Mój mały rywal wciąż syczał, a ja powoli zbliżałem drżącą łapę, aby go przepędzić. W końcu uciekł na pobliską gałąź, skąd nadal mi się przyglądał. Wszedłem do dziupli, żeby sprawdzić, czy Pajęczak

spowodował jakieś uszkodzenia Pestki – była cała. Ostrożnie wydobylem ją z drzewa. Musiałem zerwać kilka naczyń łączących Ziarno z rośliną. Lepkie, słodkie soki zalały wnętrze jamy. Gdy opuściłem dziuplę i się oddaliłem, odwróciłem się, aby sprawdzić, czy pajęczak nadal obserwuje mnie z ukrycia. Zauważyłem, że znów wraca, by zająć norę.

Zagrzebałem Nasiono i kamienie ułożyłem tak, by nie rzuciły się w oczy. Bluszcz oplatający skały idealnie maskował kryjówkę. Wyśilek związany z zabezpieczeniem Ziarna uspokoił mnie. Ręce przestały mi się trząść, a odgłosy dżungli stawały się coraz bardziej przyjazne. Odszedłem kawałek, aby dokładniej przyjrzeć się mojemu nowemu ciału.

Podniosłem dłoń – sześć palców. Zerknąłem na stopy – to samo. Każda kończyna posiadała dwa przeciwstawne palce. Spróbowałem się wyprostować, ale moja miednica zaprotestowała, to ciało było stworzone do chodu na czterech kończynach. – Drzewołaz? – zapytałem z rozbawieniem w głosie. Spojrzałem na klatkę piersiową, uda i ramiona. Miałem futro pomarańczowo-czarną barwę, urozmaiconą zielonymi plamami. Musnąłem przedramię, pod palcami poczułem niezwykle miękką sierść, przypominającą okrycie ziemskiego kota – majkuna. Moje przednie kończyny skierowałem w stronę twarzy, aby ją zbadać. – Dziób? To ciekawe... – podsumowałem, próbując wyczuć kształt. Chyba wymacałem trzy kły na nim. Spróbowałem rozłożyć dodatkowy zestaw broni, jaki otrzymujemy w standardowym pakiecie z nowym ciałem. – Kurwa! – krzyknąłem. Ból w przedramieniu, był czymś niespodziewanym. Oczekiwałem, że kości przedramion gładko rozłożą się i utworzą coś na kształt krótkich mieczy. Tymczasem od nadgarstka do łokcia biegły dwie niebiesko-zielone linie. – Może dopiero się formują. Mam nadzieję. – Poruszy-

łem ogonami, testując ich zasięg i chwytność. – Szkoda – dodałem, zdając sobie sprawę, że igły na końcu ogonów są przytwierdzone na stałe. Spodziewałem się broni wyrzucającej ostre igiełki, mogące zabić moich wrogów. – Nawet na jądzie poskąpili – powiedziałem, ogłędając bliżej ogony. Wykonałem kilka testów: podskoki, bieganie, podciąganie. Przyzwyczajenie się do możliwości tej formy powinno być łatwe. W przeszłości już bywałem właścicielem podobnych ciał.

Jeszcze było za wcześnie, żeby zmuszać moje nowe Naczynie do nadmiernego wysiłku. Postanowiłem wykorzystać czas do zmroku na zapoznanie się z okolicą i poszukiwanie potencjalnych zagrożeń.

Tutejsze słońce powoli zachodziło, a ja nie wiedziałem, co robić. Mogłem pozostać na ziemi, przygotować sobie legowisko i próbować zasnąć. Jednak ta myśl sprawiała, że chłodny pot oblał mój kark, a moje serce zaczynało bić coraz szybciej. Otaczająca mnie dżungla wydawała momentami niepokojące odgłosy, a myśli o zamknięciu oczu przyprawiała mnie o dreszcze. Ostatecznie zdecydowałem się wdrapać na jedno z drzew i poczekać tam do rana. Pierwsze próby wspinaczki kończyły się niepowodzeniem. Śliska kora sprawiała, że nie byłem w stanie się na niej utrzymać. Myśl o zmroku, braku światła, sprawiły, że moje ręce zaczęły się trząść. Gdy użyłem szponów, wspinaczka stała się zaskakująco łatwa. Musiałem jeszcze popracować nad koordynacją – chcąc uwolnić jedną łapę, przypadkiem chowałem pazury w przeciwstawnej. Po dotarciu na pierwszą stabilną gałąź, zacząłem rozglądać się za miejscem, z którego mogłem, niczym niepokojony, obserwować mój nowy świat. Wybrałem konar, który był pokryty większą ilością liści niż pozostałe, zapewniał lepsze maskowanie.

– Ciekawe – wyszeptalem.

Czerwony blask słońca malował krajobraz w krwawe barwy. Zatrzymałem się. Coś było nie tak. Widziałem. I to lepiej niż w blasku dnia. Rośliny, które wcześniej wydawały się czarne, teraz mieniły się żywymi kolorami – zielenią, błękitem i czerwienią. Wyglądało na to, że byłem nocną istotą. Nie czułem senności. Obdarzony nowymi możliwościami wzrokowymi, postanowiłem wyruszyć na rekonesans. Musiałem znaleźć bezpieczne miejsce, w którym będę mógł wznowić wzrost Nasiona. Dodatkowym bodźcem było zdobycie pożywienia.

Znalezienie pożywienia i wody stało się moim priorytetem. Z tą drugą nie powinno być problemu – bujna roślinność sugerowała pobliską rzekę lub częste deszcze. Bardziej martwiło mnie pożywienie. Zapasy tłuszczu wyczerpią się za kilka dni, a wtedy albo padnę z głodu, albo stanę się łatwą zdobyczą dla kogoś stojącego wyżej w łańcuchu pokarmowym. Mogłem spróbować jeść wszystko, co znajdę, ale nie wiem, co jestem w stanie strawić, a co może okazać się trucizną. Najrozsądniej będzie znaleźć przedstawiciela gatunku, który posłużył do uformowania tego Naczynia. Jeśli uda mi się ustalić, czy jest roślinożercą czy mięsożercą, znacznie ułatwi mi zdobycie pożywienia i zwiększy moje szanse na przeżycie. Na szczęście Nasiono musiało pobrać próbkę DNA, gdy zwierzę było w jego pobliżu.

Wspiałem się na szczyt drzewa, na którym siedziałem.

Dzięki oczom dostosowanym do nocnych widoków tej planety mogłem podziwiać panoramę zapierającą dech w piersiach. Z każdej strony widać było delikatne punkty światła - złote, błękitne czy migotliwe jak rubiny i szmaragdy. Zauważyłem najbliższe wzniesienie, które mogłoby być idealnym obserwatorium, ale było zbyt daleko.

W oddali połyskiwała rzeka. Musiałem się do niej dostać – była moją jedyną szansą na przetrwanie.

Pierwszy skok – za szybko schowałem szpony. Ślizg, upadek. Drugi – utknąłem, szpony trzymały mnie za mocno. Jeszcze raz. I jeszcze. Jednym razem za szybko je schowałem i się ześlizgnąłem. Innym razem nie mogłem podnieść nogi, bo pozostała wczepiona w gałąź. Moje ogony również sprawiały problemy – nie byłem w stanie nad nimi zapanować, owijały się wokół łodygi odruchowo. Dodatkowym problemem były nieznane hałasy, które mnie rozpraszały, podczas przeskoków. Za każdym razem, gdy próbowałem złapać gałąź, moje szpony nie trafiały w punkt. Ręce drżały mi z niepewności, jakby ciało nie chciało współpracować z umysłem. Każdy skok wydawał się ryzykiem, jakby mogło się skończyć upadkiem w głąb ciemnej dżungli. Opanowanie sztuki sprawnego przemieszczania się pomiędzy drzewami zajęło mi kilkadziesiąt minut. Odgłosy dochodzące z głębi dżungli, w międzyczasie, przestały wzbudzać we mnie niepokój. Oswoiłem się z nowym ciałem, chodzenie po drzewach stało się płynne i automatyczne. Co jakiś czas mijałem pająki z ogonami wieiórek, i z każdym napotkanym stworzeniem, moja obojętność na ich widok zwiększała się. Wyglądały na dość pospolite zwierzęta tej planety, niczym komary w ziemskich lasach. Były różnej wielkości – mniejsze i większe – a niektóre zaciekle walczyły między sobą. Czasem zatrzymałem się, aby popodziwiać, zabawne zapasy tych stworzeń, polegające na próbie uchwycenia ogona przeciwnika i strącenia go z gałęzi. Podczas tych postojów słyszałem szelesty liści na pobliskich drzewach. Starłem się wypatrzyć w gęstwinie gałęzi inne istoty, podobne do mnie. Niestety oprócz mnie i tych pajęczaków, nie było w pobliżu nikogo.

Dzięki chwytным kończyom poruszałem się coraz sprawniej. Od czasu do czasu wychodziłem ponad korony drzew, by określić swoją pozycję i upewnić się, że wiem, gdzie zostawiłem Nasiono. Po kilku godzinach, gdy już dotarłem nad rzekę, byłem oswojony z nowym ciałem, oraz odgłosami tej planety. Przerazenie samotności, które towarzyszyło mi od wyjścia z dziupli, ustąpiło.

Okolice mnie zaskoczyła, spodziewałem się wody płynącej pomiędzy drzewami – czegoś w rodzaju lasu namorzynowego. Tymczasem zamiast drzew, tuż przy korycie, zobaczyłem trawy. Od linii drzew do rzeki, po obu stronach koryta, było dobrych kilkadziesiąt metrów. Plaża przypominała rozległą, bezkwienną, łąkę. Ciemnozielona, jednolita pokrywa liści, otulająca ziemię, sięgała mi, aż po kostki. Łuna rodzącego się dnia, rozświetliła krople rosy, sprawiając, że brzeg rzeki rozbrzmiał blaskiem tysięcy mikroskopijnych diamentów. Mimo braku kwiatów, powietrze było przesiąknięte delikatną wonią miodu.

– *Fantastycznie...* – pomyślałem. Zrozumiałem, że szedłem całą noc. Źle oceniłem odległość. Czułem jak wycieńczenie i głód, zaczynają przejmować kontrolę nad moim nowym ciałem. – Nie teraz... – szepnąłem, czując, jak każdy ruch wymaga ogromnego wysiłku, a moje nowe ciało, choć sprawne, zaczynało odmawiać posłuszeństwa. Walczyłem z sennością, powieki stawały się coraz cięższe. Wiedziałem, że długo tak nie wytrzymam.

Rozejrzałem się po okolicy, próbując znaleźć coś, co dałoby mi choć iluzję bezpieczeństwa. Drzewa, żadne z nich nie wydawało się wystarczająco bezpieczne. Wiedziałem, że jeśli tu zasnę, stanę się łatwym łupem dla każdego drapieżnika, który wyczuje moją słabość. Wtedy ją dostrzegłem – małą dziurę pod

korzeniami drzewa. Była ledwo widoczna, ukryta w gąszczu traw i liści. Podeszedłem bliżej, czując, jak ziemia ugina się pod moimi stopami. Dziura była wąska, ale wystarczająco głęboka, bym mógł się w niej schować.

– To musi wystarczyć – mruknąłem do siebie, choć w głębi duszy wątpiłem, czy to naprawdę bezpieczne miejsce.

Gdy skończyłem posłanie, dostrzegłem dziwny kamień. Wkleśła soczewka. Idealna do zabezpieczenia wejścia. Reszką sił wepchałem go przed dziurę. Wszedłem do środka. Przesłoniłem wejście kamieniem.

– Proszę... – wyszeptałem, błagalnie w stronę kamienia – Wytrzymaj.

Położyłem się na posłaniu. Choć szorstkie, wydawało się teraz najwygodniejszym łóżkiem na świecie. Z zewnątrz dochodziły dźwięki łamanych gałęzi, szelest liści. Serce waliło mi w piersi, jakby chciało wydostać się z klatki piersiowej. Ostatnim wysiłkiem ułożyłem się wygodnie, starając się zignorować głucho dudnienie w moich skroniach i pustkę w żołądku.

Ostatnią rzeczą, jaką poczułem, był zapach miodu unoszący się w powietrzu, mieszający się z wilgocią ziemi.